Tom V. Nr. 10.

1. Października. 1861.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ZYGMUNT TRZECI, KRÓL POLSKI.

V. *Wojna z Turkiem i śmierć dwu hetmanów.*

Słyszeliście już o tem jak się to pan wojewoda Mniszech wraz z Dymitrem na Moskala wyprawiał, i widzieliście że to było dobrze i niedobrze. Dobrze było, bo pobili Moskalów, a to zawsze dobrze; aleć źle było dla tego, że to sobie ten pan tak, ot na własną rękę wojował: bo jakby tak sobie każdy wojny wydawał, tobyci był niesłychany harmider i wielka mięszanina w narodzie, jak to mówią jeden do lasa, drugi do Sasa, i nie byłoby w kraju ładu za trzy grosze.

A owóż to prawie też i u nas ładu nie było za króla Zygmunta III, bo każdy robił co mu się podobało. I oto najprzód trzech wielkich panów, jeden Potocki a dwaj inni książęta Korecki i Wiśniowiecki, namówili się że pójdą z wojskiem do Wołoszczyzny, którą się Turek opiekował, i het sobie kraj ten zawojują. Jak rzekli, tak zrobili; wyprawili się z wojskiem, aleć jeno zaczęli wojować, tak zaraz dostali od Turków po skórze,

którzy i samych onych panów złapali, a okutych do Stambułu odwieźli.

Ba, żebyci się to na tem było skończyło, to nic! Ale Turek rozgniewany że go lada kto szarpie, zbiera ogromną siłę i ciągnie przez Wołoszczyznę ku naszej granicy.

— Źle będzie! — mówią nasi zrazu, i nie chcąc biednego ludu wydawać na noże tureckie ustępują Turkowi het wszystkich praw do Wołoszczyzny, byle jeno dał pokój. Aleć, że to hospodar Wołoski sprzyjał Polsce a Turkom nie bardzo był przyjaźny, a naszym też obowiązkiem Bożym zawsze było bronić Chrześcijan od pogańskiej ręki: więc hetman Żółkiewski, choć jeno z niewielką gromadką żołnierzy, ruszył na Turka do Wołoszczyzny.

Nieprzeliczona ćma pogaństwa otaczała garstkę naszych, ale Żółkiewski tęgiego był serca, więc zwoławszy starszych z wojska, tak się do nich odezwie:

— Waleczni towarzysze! Mała nas kupka bo mała, ale w Bogu nadzieja. Dnia jutrzejszego chciałbym uderzyć na Turka, a mam tak silną wiarę we waleczność waszą i w pomoc Bożą, że i o zwycięstwie nie wątpię. Jeżeliby zaś przecie bitwa się nie powiodła, to się uszykujemy w *tabor* i tak będziemy się cofać ku granicy.

Nic na to nie rzekli wodzowie, ale widać było z oczu niektórym, że się coś z bojaźni czy z nieżyczliwości ku hetmanowi nie bardzo nato godzą. I patrzcież, na drugi dzień rychło świt rozgląda się hetman po obozie, a tu jedna część i tak małego wojska, bez pozwolenia i rozkazu jego ruszyła sobie z Bogiem. Krew ścięła się hetmanowi w sercu, schmurzył brwi i westchnął do nieba, a jakieś przykre uczucie przeleciało mu przez duszę.

— Źle już źle, kiedy się tak dzieje! — podumał stary hetman, a widząc już bitwę nie możliwą, kazał urządzić *tabor* i tak taborem jął się cofać ku domowi. A *tabor* ten tak się urządzał: wozy żołnierskie ustawiało się na cztery boki, a w taki sposób, że przystawały do siebie niby mur jaki; w samym środku znajdowała się jazda, chorzy i co najpotrzebniejsze dla wojska, bokiem zaś piechota z nabitemi rusznicami. Szedłeś

więc niby murem zasłonięty i mogłeś ztamtąd palną bronią trapić nieprzyjaciela, a samemu przecież ci tak nie szkodziło jak we zwykłym szyku.

Oj, aleć mieli nasi utrapienia dość z tym taborem! Bo to żeby tylko sam Turek co najeżdżał i trapił! lecz bo do tego miałeś niesłychaną posuszę i upał i dym pożarów naokoło, a tu nic tylko goły step i step, het żółty od skwaru. Idą nasi pięć, idą sześć dni, idą ci nareszcie już i siódmy dzień, a tu nic jeno ciągle goły step jak po stole, a w dodatku i szarańcza trzeszcząca pod wozami. Więc nasi modlą się jeno gorąco do Pana Boga i śpiewają „Pod twoją obronę“, więc opieka Boża trzymała ich jakoś w kupie i bez wielkiej szkody aż do siedmiu dni, choć widać było, że owe przeniewierstwo jednej części wojska mocno sprawiedliwość Bożą obruszyło, i lada chwila mogłeś się kary spodziewać.

Oj, i przyszła ci nareszcie ta kara na naszych, oj przyszła!

Dnia siódmego wieczorem, skoro już Turcy zmęczeni nie napastowali taboru, a nasi chcieli odpocząć nieco, takci się stał wielki rwetes w taborze. Co wytrwalsi a Boga w sercu mający przeszedłszy już tyle czekali i końca spokojnie, jako że już do domu bliżej jak dalej było: aleć pachołkom czyli *ciurom* sprzykrzyło się już to ciężkie i powolne cofanie, i nie dbając o własne sumienie i o całą sprawę, chwycili się rabunku. Darmo hetman i starsi wstrzymują, darmo grożą i karzą, nic nie pomaga! Ciurowie rzucili się na dobytek swych panów, a potem hajże w nogi. No i oczywiście zrobiło się z tego wielkie zamięszanie, a Turcy korzystając z zamięszania uderzają na rozerwany tabor.

Spojrzał stary hetman po szczupłych i niezgodnych szeregach, spojrzał smętnym wzrokiem, i widzi że ostatnia wybiła godzina. Lecz prawemu Polakowi nigdy się z placu ustępować nie godzi. Turcy biją i rozpraszają naszych, a tu koło starego hetmana stanął syn jego z jednej a synowiec z drugiej strony, i tak czekają rychło dać gardło wypadnie. I niestety, nie zadługo wybiła ostatnia godzina! Padł stary hetman, pogromca moskiewski w tylu bitwach, a poganie ucięli mu głowę, i posłali ją do Stambułu. Dużo tam naszej krwi pociekło, siła na-

szych padło rycerską śmiercią, reszta zaś poszła w rozsypkę. A działo się to pod *Cecorą*, lat temu dwieście czterdzieści, bo w roku 1620. Wielki był smutek w całej Polsce po onej klęsce straszliwej. Płakały matki swoich synów, płakały żony mężów a siostry braci, a wszyscy skarzyli się na Zygmunta, że nie postarał się o posiłki dla Żółkiewskiego, i dał mu tak marnie zginąć. Trafiłci się nawet jeden szlachcic imieniem Piekarski, co wypadł na przechodzącego ulicą króla i ranił go czakanem w głowę, za co go potem męczyli, a on plótł piąte przez dziesiąte, i od tego czasu została już gadka między ludźmi: Plecie jak Piekarski na mękach, jeśli kto ni to ni owo bałamuci.

Tymczasem Turek, pobiwszy raz naszych, urósł w jeszcze większą butę jak przedtem, i umyślił sobie het całą zawojować Polskę. Jakoż cesarz turecki czyli sułtan, zebrawszy nie widziane i nie słychane dotychczas wojsko, ruszył ku polskim granicom. Nasi radzili właśnie podonczas na sejmie, a skoro ta wiadomość straszliwa nadeszła, to tam w niejednym zadygotało serce, boć też i Cecorę mieli przed oczyma. Więc nie wiele myśląc uradzili, że każdy szlachcic co jeno ma zdrowe ręce, kawałek żelaza i konia nijakiego, niech się na Turka wyprawia, czyli mówiąc inaczej, uradzili pospolite ruszenie. Zaś swoją drogą wyprawili gotowego wojska, co jeno było można, pod dowództwem onego *Chodkiewicza*, co to tak Szwedów pod Kircholmem skropił. A do tej siły przyłączyli się też w znacznej liczbie poczciwi Kozacy zaporozcy, którymi dowodził sławny pod one czasy ataman, nazwiskiem *Konaszewicz*.

Na wołowej skórze by nie spisał, chcąc opisywać po szczególności, jaka to była sławna ta wyprawa na Turka. Ważyła się tu sprawa nie tylko o Polskę, ale i o inne narody z Polską graniczące, zgoła o całe chrześcijaństwo, bo któżby był bisurmanów wstrzymał, gdyby to pogaństwo było naonczas garstkę naszych przełamało i wylało się nie przymierzając jak nasza Wisła na świętego Jakóba? Het, het i u Niemców i u Moskali świeciłyby się dziś pewnie tureckie księżyce, zamiast krzyżów naszego Zbawiciela!

A nie było zupełnie trudno o przegraną z naszej strony, bo jako wam rzekłem niesłychaną liczbę pogan przyprowadził sułtan, i z tych co z Chodkiewiczem przyszli, to ledwo jeden na dziesięciu starczył. Lecz doświadczony hetman postępował sobie rozsądnie i przezornie, bo przeszedłszy za granicę polskiej ziemi nie szedł dalej szukać Turka, jeno stanął obozem pod miastem *Chocimem*, okopał się porządnie, i tak czekał na wroga.

Nie długo trzeba było czekać. Nadciągnęły wnet wojska tureckie, a szły i szły bez końca i wreszcie stanęły naprzeciw naszych obozem, ale-ci to takim obozem, żeś go nie mógł okiem przejrzyć. Co tam było bogactw, koni a ludzi, tobyś był musiał cały miesiąc liczyć, a jeszcze byś nie zliczył. Owóż z tą siłą zaczęli nasi zwolna, potroszę się uganiać, a gdzie się tylko dało to urwali i porazili, a tak się to jakoś wiedło, że im wnet i wielkiego wodza ubili. Nasz dzielny hetman, Chodkiewicz, choć już dobrze latami przygarbiony, dzień i noc na koniu objeżdżał i doglądał jak troskliwy ojciec, wszystko też szło jak najlepiej, bo i Pan Bóg dopuściwszy na naszych porażkę pod Cecora, brał teraz Polskę w obronę przeciw poganom.

Wszystko szło dobrze; aliści Chodkiewicz, umęczony ciężką pracą czuwania, musiał zsiąść z konia, i dopieroć uczuł jak go nagle siły opadają i w oczach mu się mroczy. Trudno było mu dłużej utrzymać się na nogach; legł więc stary hetman na obozowej pościeli, a kazawszy zwołać starszyznę do siebie, tak się do nich odezwie:

— Znać już niedługo mojego życia; czuję jak mię siły coraz bardziej opadają, i ciężko mi rozstawać się z wami, kiedy wróg na karku; aleć Wszechmocny, nieogarniony w miłosierdziu swojem wie co robi. Więc chociaż mnie nie stanie, nie żałujcie wy ostatniej kropli krwi za ojczyznę, bo wiedzcie, że w was nie tylko Polska ale całe chrześcijaństwo nadzieję swą pokłada.

Głos słabnął coraz bardziej staremu hetmanowi; wziąwszy więc *buławę*, oznaczającą hetmaństwo, oddaje ją w ręce Lubomirskiego, i rzeknie:

— Wiedź ich ty na pogaństwo i dokonaj zwycięztwa.

Ze łzami w oczach przysięgali rycerze, że rychlej zginą, jak żeby mieli ustapić przed Turkiem, a w czasie tego stary hetman podniósł oczy w górę, westchnął, i oddał Bogu rycerskiego ducha.

Po śmierci hetmana, długo się jeszcze uwijali Turcy koło naszych; ale dostawszy zawsze po skórze, i widząc że nic nie dokażą, jęli prosić o pokój, na co nasi chętnie przystali, bacząc, żeby onego pogaństwa nie zniszczyli tak prędko, a na kartę stawili całą przyszłość Polski. Jakoż podpisali pokój z Turkiem, który też zaraz potem odciągnął, zostawiając sześćdziesiąt tysięcy trupa na pobojowisku; a działo się to w rok po Cecorskiej klęsce, więc w roku 1621.

I to było ostatnie najświetniejsze i najważniejsze zwycięstwo za panowania tego króla. Nie król się do tego przyczynił, bo on słabnął coraz bardziej, i coraz więcej był nieudolnym, ale owi sławni wojownicy i hetmanowie, na których, jakeście to widzieli, nie zbywało podonczas zupełnie naszej polskiej krainie, którzy sławę i siłę jej utrzymywali, choć jej niejedno groziło nieszczęście, a zgoła zdawało się że ją zniszczy.

Po wyprawie Chocimskiej żył jeszcze lat jedenaście król Zygmunt trzeci, a tak już nie umiał utrzymać porządku, że jeno huczało i kłóciło się jak w kotle w naszej Polsce. Więc nie tylko że ze Szwedami była jeszcze turbacja, gdy zaczęli Inflanty rabować, lecz i własne wojsko nie chciało słuchać, jeno się buntowało i dokazywało, że aż brzydko wspominać. Nie bardzo się też i smucili ludzie, gdy nareszcie Pan Bóg po czterdziestu pięciu latach panowania zabrał Zygmunta III z tego świata. Nie wiele było żałoby, bo wszyscy mieli lepszą nadzieję we *Władysławie*, królewiczu, który po ojcu na tron polski wstąpił.

Prostak wiejski.

Nie wiem, gdzie tam lepiej komu,
Każdyć Panem własnej woli;
Mnie najlepiej w ojców domu,
Rad więc siedzę na swej roli.

Nie ciekawym, co tam poda
Zagranicznym miastom moda;
Sieję sobie swe zagony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam szuka obyczaju,
Pędzi w świat ... otwarte wrota!
Dzięki Bogu, wiem i w kraju
Co jest rozum, grzeczność, cnota.
Wolę ja w staroświecczynie
Wiernym być własnej Ojczyznie,
Bom z pradziadów Polak chrzczony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś przez mądre tam mozoły
Myśli, że świat przeinaczy;
Toć i jam odbywał szkoły,
Wiem, co ta ich mądrość znaczy.
Hurt na hurt, wolę ja stare:
Ojców serce, ojców wiarę,
Żyć dla dzieci i dla żony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam ludzi durzy, mami,
I gdy jakiś zysk w tem zoczy,
Górnościami, czułościami,
Jako może mydli oczy.
U mnie, znam się na oszustach,
Prawda w sercu, prawda w ustach,
Do prostotym wzwyczajony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie łakną drudzy
Chwały, sławy, i tak dalej;
Mnie gdy w domu lubią słudzy,
Gdy mię w wiosce kmieć pochwali,
Gdy pochwalą mnie sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz na spowiedzi:
Tom już całkiem nacieszony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ułożył: *Stefan Witwicki.*

Wdzięczny chłopek.

We wsi Pakówce był dworek ładny, ani murowany, ani malowany, ale z czystego drzewa wystawiony; na około stały dęby i lipy, a opodal były gumna i stajnie pańskie. W tym prostym dworku mieszkał sobie pan wioski z żoną i dziećmi, a był to pan bardzo pobożny i dobry i sprawiedliwy. Jak przyszła niedziela święta, to pan idzie sobie z żoną i dziećmi do kościoła, a przechodząc koło ludzi pochwalił zawsze Pana Jezusa uchylając czapki, a jak wszedł do kościoła, to wszystkim powiedział: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — umaczał rękę w święconej wodzie, i ukląknąwszy nachylił głowę ku ziemi mówiąc: — Niech będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament teraz i na wieki, amen. — A za nim zrobiła to samo i pani i wszystkie dzieci. Po nabożeństwie szedł sobie do domu, a na drodze rozmawiał z gospodarzami to o gospodarstwie, to o chudobie, to o szkółce, to o biedzie, i dawał gospodarzom różne rady i nauki, zwyczajnie jak dobry pan a do tego jeszcze mądry i uczony. To też nikt tam we wsi nic nie robił, dopóki się naprzód pana nie poradził i o wszystko dobrze nie wypytał, a jeżli tak robił jak pan radził, to tam na włos nie chybiło nic i nie wyszło na złe.

Raz idzie sobie pan na pole, i mówi gospodarzowi Janowi:

— Szczęść wam Boże, Janie! Jak widzę siejecie tatarkę, ale jakoś wam się nie dobrze orze, bo wy nie chcecie sprawić sobie pługa żelaznego, jak to u mnie jest. Ot, idźcie do gumiennego Stacha, a on wam pożyczy mego pługa, i zobaczycie jaka to będzie oraczka po takim pługu.

Posłuchał Jan, bo wiedział, że pan zawsze na dobre chce, a miał zagony potem, jakby tam nie ziemia ale drobniutki popiół był na zagonach! Ale też dał mu Pan Jezus i tatarkę jak krzaki nad potokiem, a sypało mu obłożonemi korcami przy młóceniu.

To znowu inną razą idzie pan na pole, a drugi gospodarz wozi sobie gnój, a pan do niego:

— Szczęść Boże Jakóbie, ale źle kupki kładziecie! Ja wam radzę kłaść więcej, bo to jedna robota a czasu szkoda, a po-

tem zaraz rozrzucić gnój i przyorać i średnio posiać, a da Pan Jezus dobry zbiór. Ot, idźcie do mego Stacha, niech wam da dobre widły, aby to zrobić jak się patrzy. Może i bron wam potrzeba, to wam pożyczę.

Posłuchał Jakób jak pan radził, a było żytko jak las na drugi roczek, a dało z kopy aż po półtora korczyka. Bo jużci nie pan urodził mu takie żytko, tylko Pan Jezus, ale dobre słowo i dobra rada drugiego, to także wiele znaczy.

Raz znowu się wydarzyło, że się pokłócili sierdzisto Antoni z Szymonem, i nuż Antoni gazda do dworu bieży jak zaperzony kogut, ani się nie pozapinał ani rozczesał głowy, ani butów nie otarł z prochu, a szedł tak gniewny, że przed nikim ani Pana Jezusa nie pochwalił, ani czapki przed męką Bożą nie uchylił i sunie prosto do dworu, a pan stoi i patrzy. Antoni sie trzęsie i gada:

— Proszę pana, co ten Szymek ze mną wyrabia! Tać to opłakana każda moja godzina!

A pan mówi do niego:

— Widzicie Antoni, że źle robicie, bo jużci przychodzicie do mnie, a nawet Pana Jezusa nie pochwalicie. Widziałem nawet, żeście czapczyny waszej nie uchylili przed męką Bożą, którą ja dla was i dla mnie postawił, abyśmy razem chwalili Boga. To źle mój Antoni, takim gniewem nic się dobrego nie robi. Zresztą, wy gospodarz nie zły, czemuż przecie nie weźmiecie co lepszego na siebie, jak idziecie czy to do dworu, czy do kuma, czy do kościoła świętego, boć wiecie, że tak was piszą, jak was widzą.

Antoni, już udobruchany, przeprasza i dziękuje, i gada sobie:

— Jużto, co pan powie, to święta prawda. Jużto my prostacy powinniśmy się wszystkiego uczyć i w kościele i we dworze u dobrego pana. — I pożegnał się i wracał do domu, a pan wołał za nim:

— Mój Antoni! tylko bez gniewu i obrazy Bożej! Trzeba podarować, zapomnieć, a nigdy się nie gniewać od rana aż do nocy, ani nie lęgać do snu z gniewem.

I było cicho i zgoda między Antonim i Szymonem!

A znowuć raz idzie pan przez wieś, a tu w jednej chałupinie płaczą aż się zanoszą.

— Co tam takiego? — pyta pan.

A dziewcze małe mówi:

— Nasz tatuś młócili i nagle ich zamroczyło; cepy im wyleciały z rąk i upadli na znak i skaleczyli sobie strasznie głowę, a matusia nie wiedzą co począć, bo ledwo my się dokrzysili tatusia.

Więc dobry pan wlazł do chałupiny, pochwalił Pana Jezusa, przywitał wszystkich pięknie, obejrzał chorego i zaraz posłał dziewczynę do dworu do pani, to po ocet mocny, to po lód, a sam kazał ludziom przynieść zimnej czystej wody i obmyć biedakowi głowę i mokremi szmatami obwijać, aby mu nie spuchła i nie urósł jeszcze większy guz od uderzenia. Oj, leżał i stękał biedny chłopisko i byłby długo chorował, gdyby nie dwór. Ale gdzie są ludzie dobrzy i przy kościele i na wsi i we dworze, to tam nie długo co kogo boli, bo dobrzy ludzie nie dadzą; a choćby tam co kiedy Pan Jezus spuścił na kogo na próbę jaką, to go zaraz ludziska dobrzy zasłonią rękami, odwiedzą, zlecą się do rązu, popłaczą razem, poratują, a na drugi dzień jest tak, jakby wczora nic nie było złego. I tak też być powinno wszędzie, a osobliwie na wsi, bo tam ani doktora, ani cyrulika nie ma, tylko ksiądz, pan i chłopi.

Otóż wylizał się i ten biedaczysko, a jak tylko wstał, to naprzód poszedł do kościoła świętego, klęknął przed ukrzyżowanym Panem Jezusem, zmówił uczciwie paciorek, ucałował nóżki i rączki Panu Jezusowi i włożył trojaka do skarbonki dla sierót, a potem poszedł do ołtarza Najświętszej Panny, pomodlił się i podziękował za przytrafunek i za wyzdrowienie. Ale wychodząc z kościoła pomyślał:

— Tać to mię i dobry nasz pan i pani ratowali! i kto wie coby było zemną, gdyby był Pan Jezus nie przyprowadził szczęśliwie pana naszego do mej chałupiny. — I wrócił nazad do ołtarza, klęknął znowu i zmówił paciorek święty za zdrowie pana, pani i ich dzieci, ucałował ziemię w kościele, a idąc gadał sobie:

— Mój Boże! jaki to dobry Pan Jezus kiedy nam dał tu na wsi takiego pana i taką panię! Nierazby człek marnie zaginął, gdyby nie było pomocy i ratunku ze dworu naszego!

I wróciwszy do domu wybrał się do dworu, aby sam na sam podziękować panu i pani. Ledwo minął mękę Bożą, a tu pan go zobaczył i uradowany idzie do niego i mówi:

— Chwała Bogu, żeście już wstali, bo to najlepiej aby nikt z nas nie chorował.

A chłopek się skłonił i ucałował rękę pańską i gada:

— Jużci Pan Jezus zesłał na mnie to nie dobre, ale mię według swego miłosierdzia znowu podźwignał, a pan też ratował mię jak brat brata — i czemże ja też odpłacę za to? — i rozpłakał się wdzięczny chłopek, a pan do niego rzecze:

— Mój ojcze! jakbym ja chorował lub kto w moim domu, to wyście powinni mię ratować; a jak z was kto zaniemoże, to znowu ja was poratuję, boć tak każe Pan Jezus, bośmy dzieci jednej ziemi i bracia między sobą jako Chrześcijanie i Polacy.

A chłopek na to z płaczem odpowie:

— Oj, prawda panie! wszyscyśmy biedacy i rolnicy, wszystkim nam jedno dolega, dla wszystkich potrzeba nam lepiej, aby się raz zmiłował nad nami Pan Jezus i Panna Najświętsza! — A gdy to mówił, włożył rękę do kieszeni i dobył gomółkę sera, i podał panu z wielką nieśmiałością mówiąc:

— Weź też pan choć tę odrobinę odemnie chudaka, bo czemże mogę ja panu podziękować? Niech to Pan Jezus miłosierny odpłaci tyle dziesięcioro! Ja się choć co niedziela pomodlę za pana i jegomości dzieci, aby wam dał zdrowie i abyśmy zawsze tak szczęśliwie z sobą żyli, i jeden drugiego ratowali.

Na to powiedział pan:

— Widzicie ojcze, ja nie powinienem tego brać od was, bo co jeden dla drugiego zrobi dobrego, to powinno być z serca i darmo zrobione, tak każe Pan Jezus. Zły to ten człowiek, który dla zysku tylko robi, który szuka tylko zarobku i chleba powszedniego, a nie robi nic dla duszy swej; który bierze za wszystko gotową zapłatę od ludzi, a nie chce od Pana Jezusa mieć na tamtym świecie zapłaty za to. A dobry ten, który nie

patrzy na zapłatę, ale robi co tylko może i bez zapłaty, i pragnie zapłaty za to od samego Pana Jezusa. Ale widzę ja, że wy mi to przynieśli z wdzięczności, to przyjmuję.

I wziął pan gomółkę sera, a w oczach zakręciły mu się łzy, bo widział to, że chłopek poznał, ile dobrego mu pan zrobił.

Aleć dobrze to mówią ludzie: Co mnie dziś, tobie jutro. Ty dziś chory a ja zdrowy, a jak znowu jutro będzie? Ty dziś bogacz a ja biedny, a co będzie z nami za tydzień albo za rok? Ty mię dziś potrzebujesz, a ja ciebie będę potrzebował jutro jeszcze prędzej. Boć to zawsze robi Pan Jezus na to tak, aby ludzie się kochali, aby jeden potrzebował pomocy drugiego, aby każdy uważał dobrze, że coś złego i jego spotkać może. I wiedzą też ludzie, że przed chorobą i śmiercią, to ani cesarz, ani król, ani pan, ani chłop nie obroni się nigdy. Otóż rozchorował się i dobry pan w Pakówce. Zaraz dobrzy ludziska zbiegli się do dworu, nawet z pola od roboty przylecieli i obstąpili dwór, a płakał tam niejeden, bo mu się setny żal zrobił pana i pani, która biedaczka chodziła po pokoju i ocierała sobie łzy białą chusteczką. Płakały tam i dzieci pańskie, i sam ksiądz siedział smutny koło łóżka pańskiego, a starsi chłopi coś między sobą pogadali, i nuż do pani mówią:

— Niech się jejmość nie trapią tyle, bo przecie Pan Jezus nie weźmie nam tego pana, który był ojcem dla nas. My sobie tu uradzili, że gromada cała wszystko porobi na polu i zwiezie i dopilnuje, abyście państwo nie mieli szkody żadnej.

I poszli do księdza i pytają:

— Niech nam też jegomość powiedzą, co też to będzie z panem naszym?

A ksiądz na to:

— Dobry Pan Jezus dla nas wszystkich! Umie zasmucić, ale umie i pocieszyć. Oto zwołajcie tu wszystkich ludzi, poklękniemy razem i pomodlimy się do Pana Jezusa o zdrowie naszego pana i brata.

I poklękli to w sieni, to w pokoju, to na dworze popod oknami, a każdy złożył ręce i patrząc do nieba mówił za księdzem:

— O miłosierny Panie Jezusie! daj też jeszcze zdrowie naszemu dobremu panu, bo cóżbyśmy tu bez niego robili? — A najwięcej płakał i modlił się ten, który niedawno przyniósł w kieszeni gomółkę sera zdrowemu panu. On nie odstępował we dnie i w nocy chorego pana, on sam jeździł to po doktora do miasta, to z listami do bliskich dworów; a gdy się panowie pozjeżdżali i coś między sobą mówili, to ten chłop ocierał sobie rękawem łzy, bo mu się zdawało, że oni gadają już o śmierci pana, i potem pytał ich:

— Powiedzcie mi też panowie, czy nasz pan ma już umierać koniecznie?

Na to mu mówili panowie:

— Nie płacz ojcze, nie; nasz dobry pan jeszcze wyzdrowieje, da to Pan Jezus.

A gromada jak sobie powiedziała, tak zrobiła. W polu dopilnowano roboty, każdy chętnie robił, bo gdzie tyle rąk życzliwych stanie do roboty, tam i Pan Jezus błogosławi robotę, boć on sam tak każe ludziom dbać i stać jeden o drugiego. A chłopek co ser przyniósł, był tak jak stróżem koło dworu, to chodził po sadzie i pilnował sadu, to wybiegał na pole i patrzył co tam gromada robiła, a potem gadał to z uciechą pani i panu, to zajrzał do gumna, to do stajni, to obchodził dwór do około, a czasem gdy mu pani kazała pójść zajrzyć i do chałupiny swej, to prosto pobiegł pod kościół i tam się modlił. A o cóż on prosił? Wie to dobrze Pan Jezus i wysłuchał może jego prośby, bo nie długo obaczył się pan, i znowu była radość we wsi, i było w gromadzie dobrze, bo gromada trzymała z dworem i kościołem jak trzymają dzieci za rękę ojca i matkę, gdy poczynają chodzić po świecie Bożym. I jest tam w tej gromadzie do dziś wszystko dobrze, bo ksiądz prowadzi gromadę do dobrego, a pan z gromadą robią co tylko mogą dla swego dobra i szczęścia.

Niech im tam błogosławi tak nadal sam Pan Jezus, a innym gromadom niech dopomoże, aby tak samo robiły.

Ks. Wojciech z Medyki.

Jak zrobić z dzikiej ziemi urodzajną rolę.

Posłuchajcież dalej jak to można z piasków zrobić urodzajną ziemię.

Pewne miasto otaczały wielkie piaski, któremi wiatr miotając, zasypywał ulice, a nie dozwalał nigdzie ani jednego ogródka założyć. Mieszkańcy miasta tego przykrzyli sobie owe piaski, ale nie myśleli o ich zatamowaniu. Pewnego razu przyszedł do tego miasta podróżny, który słyszał skargi mieszkańców na piaski. Idzie do przełożonych i prosi, by mu miasto darowało te piaski i dozwoliło wszystkie z miasta uprzątać śmieci i gnoje, za co przyrzekł piaski wstrzymać. Zdziwieni przełożeni żądaniem podróżnego, najchętniej na takowe przyzwolili, a wydziwić się nie mogli: że nawet zapłaty nie żąda za czyszczenie miasta, które ich przedtem wiele pieniędzy kosztowało. Podróżny kupił konia i dwukolny wózek z pudłem do gnoju i uprosił chróstu z miejskiego boru. Chróstem zagrodził mały kawałek piasku za miastem, wózkiem zaś wywoził codziennie śmieci, błoto i mierzwę na ogrodzony piasek, śmiechem i szyderstwem mieszkańców od pracy odwieść się nie dając. Chociaż piaski przez chróst w ogrodzenie jego się sypały i zwieziony gnój zarzucały, zwozić go jednak nie przestawał. Po zimie zasiał na wymierzwionym piasku pietruszkę i inne nasiona, które często wodą skrapiał. Na gęsto zasilonym i często zwilżanym piasku pięknie warzywo wyrosło, które drogo sprzedał w mieście niemającym żadnego ogrodu. Mierzwę zaś wciąż z ulic i podwórz na piasek wywoził, a chróściany płot co rok dalej posuwał. Sprzęt miał co rok lepszy i obfitszy, który doskonale wynagradzał jego pracę. Przychodzień kupił sobie więcej koni i wózków z pudłami do zwożenia z miasta śmieci, mierzwy i błota. Zasiał pestek, z których wkrótce doczekał się pięknych szczepów, służących mu do założenia wielkiego sadu. Wreszcie wybudował sobie piękny dom, a na całych piaskach założył ogrody, które tysiąckrotne jemu i jego następcom przynosiły owoce za podjętą pracę i trud, a miasto nie tylko od zaspów piasku uwolniły, ale pięknie je nawet przyozdo-

biły i mieszkańcom ku wygodzie i przyjemności wśród lata służyły.

Zastanówmy się, w jak różny sposób kawałek nieużytecznego piasku, np. w bliskości wiejskiej zagrody, przemysłem i pracą zamienićby można na kawałek ziemi użytecznej. Właściciel piasku nie chcąc, aby mu tenże zasypywał dobrą ziemię, zasadzi na nim brzózki, topole lub wierzby. Głęboko wkopane drzewka, a jeszcze kiedy im się podłoży pod korzenie nieco gliny lub gnoju, prędko urosną, piasek wstrzymają, na którym w cieniu pod drzewami trawa się puści. Będzie więc miły chłód dla bydła lub owiec, trawa dla gęsi, a i drzewo z czasem pożytek przyniesie.

Kto inny zamiast dzikiem drzewem, obsadziłby piasek wiśniami i trześniami, a oprócz powyższych korzyści, miałby jeszcze owoc.

Może ktoś inny zwiózłby wszystek świeży perz z pola, i przyorałby go na owym kawałku piasku. Perz gęsto położony utrzymywałby wilgoć, rósłby i niedługo okryłby piasek zieloną trawą. Pozyskałby właściciel z nieużytecznego piasku pastwisko, a z czasem, gdyby perz i trawa głęboko piasek przerosły, pozyskałby łąkę.

Może inny kto nawiózłby na piasek grubo gruzy ze starego budynku, gliny, darniny z wykopanych lub odnowionych rowów, poskrzybków z podwórza i t. p., a obróciłby piasek w jędrny, żytny grunt.

A jakiż skutek wywarłaby glina na piasek? — jaki darń, gruzy, poskrzybki lub ślam?

Kto ma w podwórzu gnojowicę, do której gnojówka ścieka, może gnojówką z piasku użyteczną ziemię zrobić. Niechaj uszykuje na półwózku beczkę ze szpontem do gnojówki, od szpontu na wózku niech urządzi deskę z rowkami, potem niechaj wywozi gnojówkę z gnojownicy na piasek, a polawszy go dobrze, obsiać powinien świeżo skropiony piasek rozmaitemi gatunkami trawy, zmięszanemi z kostrzewą i żytem, i potem przyorać. Trawy szybko i pięknie powschodzą; ażeby zaś nie poschły dla braku żywności, skropić je znów trzeba gnojówką za miesiąc. Tak zrobić ma jeszcze raz i drugi, a w przyszłym

roku powtórzyć tę pracę. Podjęta praca sowicie się wynagrodzi, bo na skrapianych tym sposobem piaskach najpyszniejsza i najżyźniejsza powstanie łąka.

RÓŻNOŚCI.

Ignacy Ślusarczyk. Wydrukowaliśmy w przeszłym numerku „Pieśń do Pana Boga“, a nie napisaliśmy kto ją to tak pięknie do składu złożył. Owóż złożył ci ją Ignacy *Ślusarczyk,* co jest parobkiem do wołów w *Pisarach,* niedaleko Krakowa, a człowiek to serdeczny i takiej ci już natury, że jak jeno coś mocniej za serce go chwyci, to mu się potem samo tak, czy żałośnie czy wesoło w dźwięcznej śpiewce wyleje. Nie kończył on tam żadnych szkół wysokich, a sam o sobie napisał pod jedną śpiewką: Ten co to pisał, mało nauki wyssał; aleć przecie jak się trafi, umie niejedno sobie i ludziom przeczytać, umie też i piórkiem na papierze spisać, jak mu się co pięknego wyśpiewa. A oprócz tego, że układa i spisuje pieśni na chwałę Bożą, to spisuje też i inne na pożytek i naukę ludziom, żeby wiedzieli jak sobie w czem poczynać, czyto przy wyborach na sejm, czy w obec różnych złych plotek na panów. Widać w nim człowieka poczciwego i bogobojnego, coby chciał we wszystkiem pięknie i zgodnie ręka w rękę, za które to dobre serce pewnie mu Pan Jezus stokrotnie tu na ziemi i w niebie odpłaci.

Poczciwe i pobożne dziewczątka. We wsi *Uhrynowie* w Żółkiewskiem, prawie ci już w sąsiedztwie onej części polskiej ziemi co nam ją Moskal wydarł, czytają też ludzie, a już co najbardziej dzieci z tego tu papierzanego Dzwonka; co im niech będzie na pochwałę, bo każdy jest pochwały godzien, kto o głowie i o sercu pamięta, a w myśli Bożej i na pożytek ludzki nie w jednem oświecić się pragnie. Juźci to, mówiąc prawdę, bardzo się do tego w Uhrynowie przyczyniają panienki ze dwora, bo nietylko że ludziskom użyczają Dzwonka, ale bywa nieraz przeczytają skorem sercem to i owo, jeśli tylko widzą ciekawość i prawdziwą chęć do słuchania. Toć też dzieci ze wsi tak się serdecznie do tych panienek przywiązały, że jak raz trafiło się młodsza z nich bardzo zaniemogła, a strapiona pani postanowiła sobie na uproszenie zdrowia dla córki pójść pieszo do Sokala, do cudownego obrazu Matki Boskiej: to cztery co najpilniejsze dziewczątka, wyprosiły sobie u pani żeby też i one na tę intencję razem z nią do Sokala pójść mogły. Juźci że pani zezwoliła, i nawet serdecznie rada temu była, a widać i Pan Bóg bardzo wdzięcznie przyjął tę ofiarę, bo młodsza panienka przyszła wnet do zdrowia, a teraz z podwójną pilnością krząta się wedle oświecenia tych poczciwych dziewczątek. Dopomóż Boże!

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.